

Warszawa dnia 27 Października / 8 Listopada 1865 roku.

Nr 45. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

STANISŁAW MONIUSZKO.

Muzyka, znana od najdawniejszych czasów, jako powstała z łona bijącéj żywą harmonją natury, zaczęła przybierać znaczenie wyższe, uszlachetniać się dopiero z zaprowadzeniem chrześcijaństwa. Użyta do nadania większego blasku obrzędom w świątyniach, dla uczczenia Boga-Miłości wznoszonych, pozbywając się kształtów ziemskich, usiłowała coraz bardziéj sprostać swemu zadaniu, uduchowniać się, przeanielać. Ze świątyni, powoli, wraz z szerzącą się oświatą, przenikała w życie powszednie człowieka, póki się nie stała jego towarzyszką. Dzisiaj, jak powszechną jest władza muzyki, każdy przyzna od razu. Wdzięcznie też pielęgnować mamy ten jeden z najczystszych utworów ducha nieśmiertelnego; oddziaływając na tegoż ducha, nastrajając go do harmonji ogólnéj, muzyka dobroczynny wpływ wywiera w sprawie cywilizacji.

Na teraz krótką tylko chwilkę pomówiemy o operze, owym dramacie muzycznym, a to z pobudki setnego przedstawienia Halki, opery Stanisława Moniuszki na scenie Warszawskiéj.

Opera składa się z dwóch istotnych części: *libretta*, czyli treści w słowach wyrażonéj i z *muzyki*, stanowiącéj duszę opery. Zależność tu kompozytora jest nie małą, zwłaszcza jeżeli weźmiemy nadto na uwagę wymagania sceniczne. Dla mistrza wszakże, libretto jest tylko punktem oparcia się, z którego wziąwszy myśl, porywa ją w sfery ducha, tam rozwija, barwi, napawa wonią, odziewa melodją, i oblekając w te szaty zostawiony na ziemi szkielet, pochwytuje nowe słowa, by je także w duchowy strój zamienić. W końcu streszcza cały poemat w oddzielnéj *uwerturze*, gdzie na falach przelewających się tonów migoce, by jasna wstęga, główna myśl—temat opery.

Przedmiot do opery może być rozmaity, już z dziedziny urojeń, otoczony cudownością, dla większego wrażenia czyli efektu, już historyczny, już z życia potocznego wzięty; ztąd i charakter muzyki bywa różny, albo poważny, albo komiczny, albo pośredni, tak zwany buffo, semi-serio (na wpół poważny). Trzeba zważyć, że przedmiot tragedji nie może być przedmiotem opery; bo wybuchy gwałtownych uczuć, rozkołysanych namiętności człowieka, tak są porywające i burzliwe, że z niemi żadne tony muzyczne współubiegać się nie są zdolne, bo same są najczystszą treścią ducha, tonem, muzyką. Tu gra głos, oblicze, cała powierzchowność człowieka. Błędne są wymagania tych, którzy w operze, tragicznych szukają wzruszeń; muzyka bawi, pieści, rozrzewnia, porywa, zachwyca, wstrząsa zresztą i przeraża, ale zarazem koi zadane rany, przelewa na nie balsam pociechy. W operze zwłaszcza polskiéj, narodowéj, wszelkie gwałtowne sceny byłyby rażące, dla tego, że życie potoczne naszych przodków odznaczało się bogobojnością, spokojem, rodzinnem uszczęśliwieniem; odżegnywali się oni od wszelkich sprosności i każących czyste obyczaje wyskoków.


Stanisław Moniuszko.—(Wycięto w drzeworytni Tygod. Illustr.)

Podług tego *Halka*, pomimo swojskiego wątku, razi nieco treścią, jako obcą, polskiemu narodowi niewłaściwą, a mogącą się zastosować do każdego innego. Kompozytor wziął ją tylko za główne tło do swego obrazu, do którego tyle cudnych wytworzył melodji, tak nieporównanym całość oblał uro-

kiem, że jak rodzona zapada do serca każdego, budzi pokrewne tony i z niemi się jednoczy. Treść tu niejako się zaciera, usuwa, ginie, wypalając jasne ślady na unoszonéj szkrzydłami cherubów duszy słuchacza.

Nie uznając więc wielkiéj zasługi autora libretta, wielbimy i kochamy kompozytora; pierwszy też to wypadek w dziejach młodéj jeszcze opery polskiéj setne przedstawienie utworu, słuchanego z niesłabnącym zapałem i rozkoszą. Ponieważ jednocześnie z uwieńczeniem świetnéj zasługą opery, niezmordowany mistrz nasz powołał do życia drugi utwór swego ducha *(Straszny Dwór)*, niemniéj promienną rokujący dla siebie przyszłość, godzi się dać kilka ogólnych zarysów z życia narodowego śpiewaka naszego.

Urodzony w prowincji, która nie uderzając wielkością obrazów natury, wypiastowała na swojem uroczem prostotą łonie nie jednego wieszcza, chlubę narodu i ozdobę ludzkości, Moniuszko lata dziecinne w wiejskiem spędził ustroniu. Matka pierwsza przeczuła w nim zdolności do muzyki, a sama kochając tę sztukę, z całą troskliwością pielęgnowała kiełkujące w duszy jedynaka ziareczko, które bujnym w przyszłości miało wybłysnąć kwiatem. Ojciec dawny wojak, napawał chciwy wrażeń umysł wspomnieniami dziejów ojczystych, a cudna dokoła natura, nawiewała melodje z rodzinnych pól, siół, gajów i strumieni. Jak widzimy, domowe bogi z miłością piastowały naprzód dziecię, i ze swem błogosławieństwem na dalszą puściły drogę. Prace w szkołach przeplatały nieustanne ćwiczenia w muzyce, które barwiąc tę opokę przejścia, koniecznego dla wzmożenia umysłu, lekką ją i ponętną czyniły. Kilkoletni pobyt za granicą, dokończył jego wychowania na polu teorji. Po powrocie do stron rodzinnych, z całym młodzieńczym zapałem poświęcił się umiejętnéj uprawie sztuki pośród rodaków, z któremi wkrótce zespolił się węzłami serdecznéj sympatji; ta go zagrzewała, dodawała otuchy, była jego pociechą i orędowniczką.

Rozgłos wszakże o jego mnożących się z rzadką obfitością utworach, szerząc się daléj i daléj, zdradził pobyt ustronnego pieśniarza. Na wezwania chciwych poznania go dalszych rodaków, z boleścią serca stargał tak miłe mu dotychczasowe więzy, i przeniósł się do nadwiślańskiéj stolicy, gdzie także nie przestaje darzyć nas i zachwycać coraz to nowemi pracami, a dla siebie zjednywać zasłużoną miłość i szacunek. Oby takie wzajemne oddziaływanie potrwało długie jeszcze lata, dopóki zaszczytny wieniec z kłosów, na błogosławionem z Nieba polu zebranych, nie uzupełni bogatego plonu, mającego zasilać przyszłe pokolenia.

Nie nazwałem po imieniu wszystkich utworów Moniuszki; znane są one powszechnie i wyliczone szczegółowo w wielu pismach, tak krajowych jak i zagranicznych. *Alojzy Kuczyński.*

NIEDŹWIEDŹ I BARANEK.

W niedźwiedziéj szubie zasiadł pan w kościele,
I patrzy wkoło i dumnie i śmiele;
A biedny szlachcic w kożuszku baranim,
W gorących modłach długo klęcząc za nim,
Kiedy go w końcu zbolały kolana,
Niewiedząc przy kim, usiadł koło pana.
Lecz pan pomyślał: zkąd znów śmiałość taka!
I chcąc się pozbyć coprędzéj biedaka,
Mówiąc: ,,A przecie, posuń się baranku!"
Łokciem go zlekka trąca bezustanku.
Choć to szlachcica gniewa i obraża,
Udaje jednak, że na to nie zważa,
Aż śpiew kapłana z głębi go dolata:
,,Baranku! który, gładzisz grzechy świata,
Baranku Boży! zmiłuj się nad nami!"
Więc jakby temi ockniony słowami,
Z przekąsem szlachcic ozwie się do pana:
,,A znaj niedzwiedziu respekt dla barana,
Mnie tu ksiądz pleban zowie po imieniu,
A tyś był w kniei, i tu jesteś, w cieniu...."
Lecz pan już więcéj nie gniewał się zgoła;
Owszem, wywołał szlahcica z kościoła,
Ściskał, przepraszał, za *koncept* dziękował,
I swe mu względy szczerze ofiarował.
A gdy posłyszał, że szlachcic ubogi,
W wojnie z turkami, miał pocięte nogi;
Wieś mu darował, dał na zapomogę,
I własną bryczką wyprawił go w drogę.

Bo pan, choć czasem miał niedzwiedzią skórę,
Lecz niemal zawsze ludzką miał naturę;
I gdy mu szlachcic postawić się umiał,
Każdy go wzajem uczcił i zrozumiał.
A ztąd przysłowie: Że choć na zagrodzie,
Szlachcic był zawsze równy wojewodzie.

Lecz dziś, zrównał Bóg szlachtę i panów;
Dziś, w obec prawa, mamy równość stanów,
I równość wyznań, nowe więc przysłowie,
Winniśmy stworzyć, w pospolitéj mowie....
Żeby wyrazić krótko i dobitnie,
Myśl Bożą—w życie wstępującą szczytnie.

Jan Prusinowski.

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 35 do 43).

ROZDZIAŁ III,

w którym Antoni opisuje dalszy swój pobyt u Tomasza.

W pierwszym tygodniu służby mojéj u Tomasza, nie widziałem, prócz nas trojga, ani żywéj duszy śród téj przepastnéj puszczy. Zdawało mi się więc, że to jest tam gdzieś za światem i tak daleko od ludzi, iż nawet nie wie nikt o nas. Tymczasem nadeszła niedziela. Wstałem rano, a wygoniwszy bydło na paszę, usiadłem przed domem i myślę sobie, gdzie my tu pójdziemy do kościoła, gdy właśnie wyszedł Tomasz i rzecze:

— Po śniadaniu wyniesiesz brony ze stodoły i wpakujesz na wóz, a koniom podsyp trochę obroku, bo pojedziemy do Wolicy na mszą świętą i zrzucimy brony przed kowalem, żeby zębów ponabijał, gdyż się już wygubiły.

Dowiedziałem się z tego, że jest jakaś wieś Wolica, niedaleko, i wszystkom zrobił wedle Tomaszowego nakazu. Jakoż po śniadaniu zaprzągnąłem konie, Basia z Tomaszem usiedli na wozie, a ja wziąłem lejce do ręki, gdyż umiałem furmanić. Wszystko było dobrze pozamykane i ogień na kominie wygaszony, broń Boże złego człowieka lub pożaru, a wyjechawszy na drogę, zaparliśmy także wrota i zostawili łyska na straży. Ruszyliśmy; lecz

ani weź pośpieszyć, bo piaski i piaski, a jak się trafi to koniom i po brzuch; więc wlekliśmy się noga za nogą, a ranek był ładny, choć trochę chłodny i małe chmurki przeganiały się po Niebie. Lecz skowronek nie bojący się ani chłodku rannego ani chmurek, wisiał gdzieś pod samém Niebem, i wyśpiewywał swoje ranne modlitwy, jaskółki jak błyskawice śmigały nam wysoko nad głowami, a w głębi lasu wykrzykiwał czubaty dudek: up, up, up!

— Będzie stała pogoda, dobrze na nasze siano, odezwał się Tomasz.

— A zkądże? kiedy się chmurki na Niebie pokazują, rzeknie Basia.

— Co tam chmurki, przerwie Tomasz, wiatr je rozpędzi i będzie śliczny dzień.

— A mnie się widzi także, że będzie deszczyk; wtrąciłem ja się do rozmowy, bodaj tylko dla tego, żeby obstawać za Basią.

— Co wy się znacie!—zawołał Tomasz z uśmiechem. Nie na to ja siwy, abym miał byle co na wiatr gadać.

— A poczemże wy poznajecie, że będzie pogoda? zapytałem ja, śmigając batem na konie.

— Jeżeli skowronek aż gdzieś pod Niebem swoje śpiewki wywodzi, jaskółki wysoko gdzieś się uganiają, a dudek w borze się odzywa, to niechybna pogoda. Wczoraj wieczór uważałem też, że żaby długo pod noc kwakały, i nietoperze latały sobie wesoło, co także na pogodę wróży. A poczekajcie chwilę, to usłyszycie także turkawkę....

Jak na to, jeszcze Tomasz słów swoich nie domówił, odezwała się w lesie turkawka, więc jużci, musieliśmy uwierzyć i zamilknąć, i powiem tu odrazu, że prawdę mówił stary Tomasz, gdyż i ta niedziela i jeszcze z dziesięć dni potém, prześlicznéj było pogody.

— Mój tatusiu, a poczemże się słotę poznaje? zapytała Basia.

— Najlepiéj ja słotę wywróżę z moich pszczółek, prawi Tomasz. Jeżeli pszczółki wczas rano z ula wylatują i niebawem znów do niego powracają, to już pewny jestem deszczu, choćby ani jednéj chmurki na Niebie nie było. Pszczoły są bardzo czułe na wszelką wilgoć, i przeczuwają deszcz wcześnie, dla tego wybierają się tak raniutko a niedaleko, żeby czemprędzéj powrócić i schronić się przed deszczem. Jeżeli wieczorem wrony i kawki są niespokojne, w kupy się gromadzą i często pokrakują, jeżeli pies raz poraz tarza się po ziemi i rano smutno wyje, a w ogrodzie dużo kretowiny naraz się pokaże, oho, to już słota pewna. Jeżeli kury w piasku się zagrzebią, a gęsi kłucą się przy jadle, a wilga często wygwizduje, to także na słotę. Miałem ja czas uważać na to wszystko i zmiarkować sobie, bo mam dwa razy tyle lat, co wy moje dzieci oboje razem.

— Wio, wio! krzyknąłem ja na koniki, gdy Tomasz skończył, lecz darmo, bo piaski ciągle i bór wciąż jednaki.

— A ja słyszałem, że jak ten szkódnik dzięcioł po drzewach bardzo hałasuje, to także ma się na deszcz znaczyć, rzekłem.

— A prawda jest, odezwie się Tomasz, tylko dla czego ty dzięcioła szkódnikiem nazywasz?

— No, jużci bo psuje drzewa, tłukąc w nie raz po raz, odpowiem.

— A wiesz ty dla czego on w nie tłucze?

— Kat go tam zna dla czego!

— No, to nie nazywaj dzięcioła szkódnikiem, rzeknie Tomasz. Dzięcioł dla tego bije w drzewa, że szuka w korze robaczków; wiesz zaś o tem, że robaczków jest najwięcéj po starych i spróchniałych drzewach, a takie jak się samo nie rozleci, to go tam dzięcioł nie wiele popsuje, i owszem, może go jeszcze dłużéj utrzymać, wyciągając te czerwie, które wiercą w drzewie. Po zdrowych drzewach nie hałasuje dzięcioł wcale; dla tego, jeżeli dobrze uważasz, to ci dzięciołek swojem pukaniem lepiéj jak każdy gajowy pokaże, które drzewo zdrowe, a które od czerwi nadspsute.

— Ot! zawołał Tomasz po chwili, różne rzeczy wygadują nieraz ludziska na ptaków, a to jak się trafi, to nie ma poczciwszego stworzenia nad ptaka!

W téj chwili odezwała się w lesie kukułka, rachujemy, siedem razy; więc ja się śmieje z Basi, że dopiero za siedem lat pójdzie za mąż, a stary Tomasz rzeknie:

— Ot, naprzykład kukułka, jakie pożyteczne stworzenie! Nie ma od niéj gorszego nieprzyjaciela na wszystkie gąsienice; żeby tam nawet niewiedzieć jakie kudłate i paskudne, to wszystkie wyzbiera. A jest tu po naszych lasach sosnowych jedna gąsienica co wielkie szkody robi, czasem nawet tak kawał lasu do czysta obeźre, że drzewa usychają na bezrok. Więc najlepszem lekarstwem na to robactwo jest kukułka, bo to ptak bardzo żarłoczny, i co się tylko obróci, to już nie ma kilku gąsienic. Kukułka razem z dzięciołem, to prawdziwi gajowi, od Boga wyznaczeni.

— A wróble są pożyteczne? zapytała Basia.

— Ot, zboże tylko psują! wściubiłem ja swoje trzy grosze.

— Jaki mi skory! Zboże psują! zawołał Tomasz. A czyś ty policzył, ile wróble robaków, glist i chrząszczów, przez jeden dzień zjedzą, i ile tego szkodliwego plugastwa swym pisklętom naniosą? Oj, byłaby tego spora miska! A czybyś ty zliczył, ile jaskółka much i komarów przez jeden dzień poje? Jak ich zje tysiąc sztuk, to jeszcze jéj mało. Bez jaskółki byłaby taka moc tych natrętów, żeby ci pewnie wszystko zjadły, nimbyś co do gęby włożył, a na ostatku toby i ciebie samego zakąsały.

Położyłem, jak to mówią, uszy po sobie, wysłuchawszy słów Tomasza, i poznawszy, żem się z głupstwem wyrwał, a z kolei chichotała teraz Basia z całych sił, odwdzięczając mi się za to, żem latka do jéj ślubu liczył.

— Ale nie skończyłbym, mówił daléj Tomasz, gdybym wam chciał wyliczać pożytki z różnych ptaków. Sikora poluje za mszycami i gąsienicami, dla siebie i dla dwadzieściorga piskląt, których tyle corok wychowuje; mały królik wyjada jajka różnych much i owadów; żołna ugania się za osami; szczygieł gryzie ziarnka ostów i bodjaków. Pliszki i szpaki latają koło bydła, łapiąc to robactwo, co bydłu dokucza. A bodaj prosta wrona! Pewnieś już nieraz widział, jak siada na paciuku, a nie siada ona tam dla igraszki, tylko szuka gadów co go męczą, i jak potrzeba to robaka choć z poza skóry wyciągnie! A bodaj prosta sowa...

— I sówsko?!.. zawołaliśmy razem z Basią.

— I sówsko, i sówsko!—poprawił stary Tomasz. Nikt ci nie potrafi w polu i w stodole tak dobrze myszy łowić jak sowa. Jest ona prawdziwym polo-

wym, i choć jéj nie płacisz wiernie, a ziarna strzeże. Głupim ludziom uwidziało się coś, że sowy, a najbardziéj puhacz, śmierć przepowiadają. Skoro więc tylko w stodole zapiszczy, dalejże go łapać, zabijać i na wrotach rozpinać. Moje dzieci, tym ludziom się tylko wydaje, że ich już śmierć za kołnierz łapie i dla tego lada sowy się lękają. A cóż tam sowie do tego życia lub śmierci? W Boskiem jest to ręku, i nikt o tem nie wie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRAKOWIANKA,

(Ciąg dalszy.—Ob. Nr. 44).

I tak płynęło wiośniane życie pięknéj Maryny, między piosnką, łzą i dobrą pracą, do któréj nie trzeba jéj było nigdy napędzać. Gdy już dorastała, prócz piosnki, drugiem największem jéj upodobaniem, były odwiedziny Krakowa. Prześliczne też to miasto, mój stryjciu, mawiała umizgając się do Ambrożego, gdy miarkowała, że się wybiera do Krakowa.

— A śliczne, śliczne moje dziecko, mawiał Ambroży, udając dla żartu, że niby nie rozumie do czego to Maryna prowadzi. A cóż ci się w tym Krakowie tak podoba?

— Wszystko mój stryju! wszystko. I wieża wysoka u Panny Marji, i te duże Sukiennice na środku rynku i ta druga wieża i te wszystkie prześliczne kościoły, co ich to taka moc w tem mieście, i podobają mi się domy takie wysokie i ulice długie..... i ludzie tak ładnie poubierani.


Oczy wytrzeszczył i gębę z podziwem otworzył.—(str. 361, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wycięto w drzeworytni Lipskiéj Webera).

— I chciałabyś to znowu zobaczyć, mówił na pół ze śmiechem Ambroży, który zaraz na pierwszą jéj zalecankę, postanowił zabrać Marynę ze sobą.

— Oj, radabym z duszy, mój stryjku, wołało wtedy uradowane dziewczę, całując swego opiekuna w ręce i obyczajem ludu, ściskając za nogi.

— A no, to się zbieraj. Pojedziemy. Toż to była radość dla Maryny. Przywdziała zaraz czerwoną chusteczkę, większą z żółtemi kwiatkami zarzuciła na ramiona, a spódnicę miała perkalikową jasną, na któréj najwięcéj było kwiatków niebieskich i zielonych listeczków. Tak ubrana szwarna dziewucha szła sobie zuchowato za stryjkiem, a przez drogę rozmawiali ze sobą.

Gdy Maryna powróciła do domu z Krakowa, przyniosła swojéj ciotce (tak Ambrożowę zawsze nazywała) i babuli jakiś upominek, na który dał jéj Ambroży dziesiątkę. A chociaż z tą dziesiątką wolno jéj było zrobić, co jéj się podobało, Maryna nigdy za nią nie kupowała nic dla siebie, tylko dla ciotki przynosiła piernik jaki albo orzechów w chusteczce, a dla babuni obrazek jakiéj świętéj z przed Dominikanów, z bramy pod wieżą (dziś zburzoną), albo gdy odpustu tam nie było, z małego rynku, od płótniarek, które także obrazki i groszówki sprzedawały. Dobre i wdzięczne dziewczę, pamiętało więcéj o drugich, a szczególniéj o tych, od których dobrodziejstwa doznawało, niż o sobie. Za to też znowu, wiedząc o tem Ambroży, przynosił ze sobą zawsze coś takiego, co dla Maryny było uciechą. Największą dla niéj uciechą, wtedy gdy już rok dziewiąty kończyła, były książki, których jéj Ambroży znosił z miasta Krakowa. Nie wiele to tam takich książek, któreby się Marynie były przydały wychodziło naówczas w Krakowie; no, ale co można było, to dla niéj kupował. O świętych patronach Krakowa, była dla Maryny najmilsza książka do czytania. Nie czytała ona tych książek prędko, bo miała już na swojéj głowie całe gospodarstwo drobiu i dobytek domowy, o którym trzeba było pamiętać. Ambrożowa nie zupełnie zdrowa, i staruszka babula, nie mogły się tem wszystkiem zajmować i kłopocić, a Marynie szło to wszystko jak z płatka. Ona wszystko robiła śpiewająco. W niedzielę więc dopiero lub we święto jakie, gdy się z całem gospodarstwem uprzątnęła, zasiadała na zielonéj skrzyni pod okienkiem, albo wybiegała do sadu i pod gruszą, czytywała sobie książki, przyniesione przez stryjka z Krakowa; ale i wtedy nie raz się zdarzało, że przestawała czytać, myślała nad czemś chwilę i dalejże znowu śpiewać.

Młodość Maryny od roku szesnastego, zeszła na takiem jednostajnem życiu pracy domowéj, czytania niedzielnego, śpiewów młodzieńczych i uwijania się za motylami, a na pogodnem jéj czołku ani jedna chmurka jakiegoś silniejszego strapienia nie osiadła, oprócz téj jednéj chyba, którą sprowadzał żal, za utraconemi rodzicami i ubolewanie nad swojem sieroctwem. Zresztą Maryna była swobodną i wesołą, jak każda Krakowianka, żywą i przyjemną, jak czyste zepsuciem nie zmącone życie wiejskie.

W czasie, gdy nasze opowiadanie, czyli naszą powieść o Marynie rozpoczynamy, miała ona siedmnasty roczek.

W téj saméj wiosce mieszkał gospodarz Antoni, co furmanił po całym kraju, wtedy kiedy to jeszcze *żeleźnicy* ani *maszyny* nie było. Ten miał syna Piotrusia, który był zaledwie o trzy lata starszym od Maryny. Chował się dobrze, bo czerstwo i swobodnie; a zamożny ojciec dbał o to, aby mu na niczem nie zbywało. Chłopak był także urodziwy i rześki, jak mało który parobek we wsi; ale co do usposobienia, to zupełnie różnił się od wszystkich swoich rówienników. Od pewnego czasu, chodził po wsi, jakby go coś urzekło, jakby zachorował. Ojciec tur-

bował się o niego strasznie, matka mimo zakazu księdza, odczyniła parę razy uroki z chleba i węgla w szklance wody, ale nie pomogło. Piotruś chodzi jak struty, i ani mu jadło nie smakuje, ani z parobkami nie pofigluje, jeno kwasi się i kwasi, a najszczęśliwszy, kiedy sobie sam pobiegnie do lasu, albo też dłużéj od innych zostanie w kościele. I cóż mu się to stało? Opowiemy: Pewnego razu przechodząc koło sadu Ambrożowego, usłyszał bardzo przyjemne śpiewanie. Zatrzymał się i schyliwszy się za płotem słuchał uważnie; Maryna zaś, bo to jéj przyjemny głosik wpadł w ucho, pięknemu Piotrusiowi, niespostrzegłszy nikogo i nikogo się niespodziewając, śpiewała sobie daléj znane po całéj wiosce piosneczki:

Mętną wodę w stawie pańskie konie piją,
Kaj ładna dziewczyna, parobcy się biją.
Nie bijcie się chłopcy, dla Boga Świętego,
Nie pójdę za wszystkich, ino za jednego.

A gdy dwa razy też sama piosenkę powtórzyła, skoczyła gdzieś po kwiatek, który zobaczyła pod krzakiem i zanuciła znowu:

Maryna mi chłopcy, Maryna, Maryna,
Uwięzła mi w nóżce, tarnina, tarnina.
Ino ja se pójdę, do kogoś na pole,
To on mi tarninę z nóżeczki wykole.

A po téj piosneczce, która koło serca Piotrusiowego dziwne brewerje wyrabiała, zamilkła znowu chwilę, i potem smutniéj nieco śpiewała:

Ale cóż ja śpiewam biedna sieroteńka,
Nie mam ja Piotrusia, nie mam ja Jasieńka.
Sierotka ja sama, a radabym chciała:
Mieć kogo na świecie, z którymbym płakała.

Piotrusiowi ledwie serce nie wyskoczyło z pod sukmany. Biło jak młotem, że o parę kroków stojący mógł jego uderzenia słyszeć doskonale; lecz bojąc się przestraszyć pięknéj Maryny, którą znał z kościoła, ale z nią nie gadał nigdy ani słowa, skurczony czekał pod płotem cierpliwie, choć mu się strasznie markotno koło serca robiło. Maryna śpiewała znowu daléj:

Kto się ta na świecie o sierotę spyta,
Siedzi jak fijołek—w traweczce ukryta.
Siedzi, lamentuje, samiuteńka jedna,
Oj Boże, mój Boże, jaka ja też biedna.

Na te słowa nie mógł już wytrzymać Piotruś za płotem: chrząknąwszy najprzód, niby na ostrzeżenie, a potem wyprostowawszy się jak świeca, uchylił kapelusza i gapił się tak przez chwilę na śliczną Marynę śpiewaczkę.

Maryna przestraszyła się cokolwiek na widok tak niespodziewanie zjawiającego się chłopca, ale nie mając się znowu tak bardzo czego obawiać, przypatrywała się jego ładnéj krakowskiéj twarzyczce, na któréj jeszcze nie zagasł, świeżuteńki i jak burak czerwony rumieniec.

— A czego to chcecie? zapytała się nieznajomego.

Piotruś zapomniał języka w gębie. Jéj słowa wystosowane tak wprost do niego, takie śmiałe i szczere i wypowiedziane bez najmniejszego strwożenia się dziewczyny, w dziwny go stan wprowadziły; stojąc tak z uchylonym w tył głowy kapeluszem, w prawéj ręce, lewą drapał się, nieładnym zwyczajem naszych parobczaków po głowie, a oczy wytrzeszczył, i gębę z podziwu otworzył.



Oto jest parasolka, którą w zastaw zostawiam.—(str. 362, szp. 2).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Walter).

Widząc takie jakieś dziwactwo, młodego człowieka przed sobą, Maryna, nie mogła się powstrzymać od śmiechu, i parsknąwszy głośno, odwróciła się od niego i poskoczyła żwawym biegiem do domu. Oniemiały i strwożony Piotruś stał jeszcze chwilkę w takiem zagapieniu się za płotem, aż zmiarkowawszy się, że sobie z niego figlarne dziewczę zażartowało, poskrobawszy się jeszcze parę razy w głowę, nasadził kapelusz na uszy, i pogrzmocił cotchu do chałupy. Przez drogę sobie mruczał coś pod nosem, a o ile dosłyszeć można było, były to narzekania nad swoją nieostrożnością i nad głupstwem, jakie przez nierozwagę popełnił.

— Trzeba mi było podnosić się z za płota? Po co? na co? Czy mię też licho zaniosło, pod tę Ambrożową chatę. Nie lepiéjby mi było iść do karczmy na pohulankę! Oj głupi, głupi Piotrusiu! Co sobie teraz pomyśli o tobie Maryna Ambrożowa. Tak desperując zaszedł do domu, ale zaraz u wstępu do izby, spostrzegł ojciec na jego twarzy odmianę.

— Cóż ci to Pietrek?

— Ej nic, odpowiedział, nie patrząc ojcu w oczy; i kiwając ręką, niby chcąc mówić: Stało się i już się nie wróci.

— A gadajże przecie co się stało.

— Toć wam mówię, że nic.

— A czegożeś taki, jakby ci kto dał łyżkę trucizny do zażycia.

— Trochę mi markotno jakoś dzisiaj.

— A o co?

— Czy ja wiem? O nic, ot tak samo ze siebie.

— Pietrek, bądźże ty z ojcem inakszy; kiedy ci mówię po dobroci.

— Kiedy nie wiem, co powiedzieć.

— Spojrzyj mi w oczy, rzekł wtedy ojciec surowym głosem, przyciągając Pietrka za rękę przed siebie. Coś ty zrobił?

Piotruś wytrzeszczył na ojca oboje swoje pięknych oczu, ale w obydwóch było pełno łez... świecących się smutkiem i boleścią. Ojciec trochę zmiękł.

— A bo wam się przywidziało, że mi coś jest; i gniewacie się.

— I ty o to płaczesz?

— A jużci, kłamał pierwszy raz przed ojcem swoim Piotruś; i kłamstwem tem uwolnił się od dalszego dochodzenia. Od czasu jednak tego spotkania Maryny w sadzie Ambrożowym; od czasu gdy jéj śliczne oczy, i ślicznie śpiewane piosneczki, utkwiły w sercu parobczaka, stawał się coraz markotniejszym i w krótkim czasie był już takim, jakimeśmy go na początku tego rozdziału widzieli. Smutek jego i dolegliwość cała pochodziła ze wstydu, który znowu tem dokuczliwszym się mu wydawał, o ile serce Piotrusia przekonywało go coraz bardziéj, że owo figlarne dziewczę pokochał od razu. Możeby kto z czytających tę powieść nie uwierzył, że był taki parobek czuły na świecie; otóż ja mu na to odpowiem, że sam znałem osobiście tego samego Piotrusia, i widziałem go właśnie wtedy, gdy w strasznym smutku swoim, nie mógł sobie dać rady między towarzyszami, ale uciekał od nich w ustronia samotne na dumania i płacze. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

PARASOLKA I PARASOL.

Czterdzieści lat temu minęło, jak w dzień bardzo gorący na początku lata, pewien pan średniego wzrostu, w ubiorze zwyczajnym, wyszedł w Paryżu z królewskiego pałacu Tuileries, bramą wychodzącą na ulicę Rivoli. Szedł on wolno, drobnym krokiem, ponieważ prowadził pod rękę młodą damę, która okazywała się nieco cierpiącą. Niekiedy pozwalał on sobie rzucić okiem na przechodzące damy tuż obok siebie, ale roztargnienia tego dopełnił nieznacznie, jakby się obawiał, żeby nie spostrzegła młoda dama, któréj towarzyszył. W pewnéj za nim odległości, postępowało dwóch ugalonowanych lokai z całą powagą i sztywnością, jaką odznacza się zwykle służba u wielkiego pana. Przeszedłszy przez ulicę, pan ten wszedł do Tuileryjskiego ogrodu i na prośby swéj damy, obrócił się i dał znak głową swym wygalonowanym służącym, aby mu nie towarzyszyli daléj i powrócili do pałacu. Wszedłszy do ogrodu, para ta wmięszała się w tłum zawsze tu wielki, kiedy dzień jest pogodny, a dziś nawet liczniejszy z powodu upału, bo każdy spieszył zakosztować tutaj choć trochę cienia i świeższego jak w domu powietrza. Niedługo jednak zatrzymali się oni tutaj i wyszli na pola Elizejskie, tuż za tym ogrodem rozpoczynające się. Na polach Elizejskich tłum był jeszcze liczniejszy, i nawet w niektórych miejscach doznać można było ścisku, gdyż tłoczono się na około wędrownych śpiewaków i rozmaitych szarlatanów, którzy w tych stronach od wieków obrali sobie miejsce dla swoich popisów. Pod sklepieniem drzew tu rosnących, długie rzędy postawionych krzeseł, zajęte już były przez damy strojne w gazy, jedwabie, koronki, które swe wdzięki i stroje chciały sprezentować. Nieznajomy prowadzący damę pod rękę, ujrzawszy na jéj twarzy przelotny wyraz znużenia, zaproponował usiąść na chwilę. Dama zgodziła się na to chętnie, i nasza para zajęła dwa krzesła stojące obok grupy osób najwykwitniéj ubranych, niezważając, że ubiór ich porządny, ale nadzwyczaj skromny, nie będzie dobrze odbijał przy toalecie sąsiadów bardzo eleganckiéj. Nasza para, nie zwracając jednak uwagi wcale na osoby koło niéj siedzące, poczęła sobie cicho rozmawiać. W czasie téj cichéj rozmowy, przybliżyła się do nich kobieta wynajmująca krzesła, gdyż w Paryżu trzeba wszędzie w miejscach publicznych płacić za krzesło, kiedy kto chce na niem usiąść, i wyciągnąwszy rękę, powiedziała:

— Ośm sous, panie!

— W téj chwili, moja pani.

I mówiąc te słowa, nasz nieznajomy począł szukać pieniędzy naprzód w kieszeni z prawéj strony, potém z lewéj, ale ani sous [1]) nie znalazł. Podniósł się więc z krzesła i spiąwszy się na palce popatrzał na około, czy kogoś ze znajomych nie ujrzy, ale napróżno.

— Ach moja pani, zapomniałem wziąść ze sobą pieniędzy.

— Oh, tak, poznałam ja to dobrze, mnie dosyć okiem rzucić, aby zaraz wiedzieć, kto ma lub nie ma pieniędzy.

— Bardzo mi to przykro, ale mogę panią zapewnić, że jéj długu nie zapomnę zapłacić.

— Zapewne! tak jak mi wielu już zapłaciło, którym głupio zawierzyłam. Znam ja się dobrze na tych sztuczkach, i nikt mnie już więcéj nie złapie.

— Jakto? czyżby się to pani kiedy zdarzyło, że takiéj bagatelki ktoś potem nie zapłacił.

— Pięknie mi *kiedy*, to mój panie codzień nas biednych ludzi w ten sposób oszukują.

I wynajmująca krzesła poczęła coraz bardziéj przybierać ów ton niegrzeczny, jakiego ludzie prości, bez wychowania, zwykli używać często, kiedy im się zdarzy sposobność zburczenia kogoś z biedniejszego stanu, w przytomności osób bogatych, to sobie nie tyle ze złego serca, ile z chęci popisania się, że jest ktoś przecie taki, któremu można kilka słów cierpkich powiedzieć.

— Alež moja pani, czy możesz sądzić, że ci chciałem jaką krzywdę wyświadczyć?

— Ba! jużciż muszę poprzestać na przyobiecanych pieniądzach, ponieważ innych nie jesteś dać w stanie, ale kiedy się ma próżną sakiewkę, to myślę najlepiéj jest nie siadać na krześle, za które płacić należy.

— A to rzecz szczególna, powiedział nieznajomy z uśmiechem, tak nie wierzyć ludziom. Ale czekajno jeszcze moja pani. Oto jest parasolka, którą w zastaw zostawiam. Bądź więc tak dobra i zatrzymaj ją u siebie, i dopiero oddaj temu, kto przyjdzie zapłacić ośm sous należnych, pokazując na znak rękawiczkę tego koloru.

Wynajmująca krzesła kobieta, wzięła z lekceważeniem podawaną sobie parasolkę, ale zobaczywszy, że jest jedwabna, nowa i o wiele więcéj warta jak ośm sous należnych, uspokoiła się nieco, chociaż państwo ci w braku zapłaty zostawiając fant, stracili w jéj wyobraźni całą powagę. Odeszła zatem po-

---

[1]) Sous, moneta miedziana francuzka, równająca się $2\frac{1}{2}$ groszom polskim.

mrukując sobie: No, proszę ktoby to się spodziewał i zaraz siadać.....

— Odejdźmy ztąd, za bardzo na nas wszyscy zwracają uwagę, powiedziała dama teraz do towarzyszącego jéj pana.

— A to dla czego? Owszem, zostańmy jeszcze, gdyż mamy dobre miejsce tutaj.

— Odejdźmy proszę cię.

I ustępując temu żądaniu, nasz nieznajomy wstał i wziąwszy towarzyszącą mu damę pod rękę, wolnym krokiem oddalił się, i wkrótce zniknął na zakręcie alei z oczu swych sąsiadów, którzy coś ze śmiechem szeptali. Przechodząc jednak ukłonił się grzecznie stojącéj kobiecie wynajmującéj krzesła, która na to zaledwie lekkiem kiwnieniem głowy, niby protekcyjnie odpowiedzieć raczyła.

Nieznajomi śmiejąc się i rozmawiając o téj przygodzie, wolnym krokiem wyszli z pól Elizejskich, i weszli na bulwary Magdaleny, gdzie ich mały deszczyk spotkał, jaki to w Paryżu niespodzianie bardzo często się zdarza.

— Wybornie! zawołał pan, a ty teraz moja kochana jak na złość nie masz parasolki.

— Eh! to nic, śpieszmy się mój drogi.

I rzeczywiście podwoili krok, ale też i ten deszczyk powiększał swą gwałtowność, tak, że wkrótce począł lać jak z cebra. Skutkiem więc tego, ze wszystkich stron poczęto biedz, aby się uchronić od zmoknięcia, co jednak w Paryżu bardzo jest trudną rzeczą kiedy deszcz pada, a nie ma się z sobą parasola, gdyż zbyt wielu ludzi odrazu szuka przed deszczem schronienia, więc się też nigdzie dotłoczyć niemożna. Wielu ludzi poczęło stawać pod drzewami jakie na bulwarach rosną, ale z drzew tych kapało błoto, walając bardzo suknie damskie. Liście bowiem drzew na bulwarach pokryte są grubą warstwą kurzu, ztąd skoro deszcz pocznie padać, naprzód rzadkie błoto z nich spada.

— Weźmy doróżkę, powiedziała teraz nieznajoma pani.

— Ej! doróżkarz!

— Jestem zajęty, a zresztą dziś tylko jadę z temi, co są w stanie dobrze zapłacić. Czy mnie rozumiesz obywatelu.

— A niechże kaci wezmą, o niczem nie pomyślałem. No, na drugi raz nie znajdę się ja w takim jak dziś przypadku. A teraz nie ma rady Karolino, tylko trzeba uciekać tak jak to robią wszyscy. Mówiąc te słowa, poczęli biedz oboje, kierując się ku ulicy Duphot. Ale deszcz powiększał się ciągle i wkrótce lunął nawalnicą, a co gorzéj nasza nieznajoma para musiała biedz pod wiatr. W mgnieniu oka rynsztoki wezbrały, a bruk spłukany stał się teraz ślizgim. Na szczęście jednak spostrzegli bramę w jednym domu otwartą, pośpieszyli zatem tamże schronić się przed deszczem, lubo się na zimny przeciąg wiatru narazili.

W bramie zastali odźwiernego z miotłą w ręku, w okularach na nosie, przeczyszczającego rynnę, w któréj ledwie się woda pomieścić mogła. Na widok damy drżącéj od zimna i zmoknięcia, zdjął on czapkę, i wskazując ręką na drzwi do swego pokoiku z bramy prowadzące, powiedział: Jeżeliby pani pozwoliła.... jeżeliby pan chciał mi honor zrobić, to prosiłbym wejść do mojéj stancyjki. Prawda, że ona ciasna, ale jest w niéj ciepléj niż tutaj, gdzie z przyczyny przeciągu pani może dostać kataru.

Ponieważ nie było innéj rady, a zaproszenie odźwiernego było tak szczere, więc nasi państwo z chęcią weszli do jego pokoiku. Odźwierny ten, jak to bardzo często można widzieć w Paryżu, zajmował się prócz obowiązków właściwych, jeszcze łataniem butów. Cały więc pokoik był stosownie przystrojony. Tu na ziemi leżały kopyta, na ścianie wisiały rozmaitéj wielkości i gatunku buty i trzewiki, a przy tem wszędzie ćwieki i dratwy, młotki i gypy. Zegar z kukułką, klatka ze sroką, stolik z pięknie pachnącą smołą, starą lampą i globem szklannym napełnionym wodą.

Odźwierny, pomimo podeszłego wieku, był jeszcze rzeźwym, a przytem ugrzecznionym, jakim zwykle jest każdy Francuz. Wie on zatem co się damom należy; więc zaraz, starłszy swym fartuchem skórą wybite krzesło, prosi damy aby na niem usiadła. Potem drugi stołek ofiarowywa panu i sam przysiadłszy na łóżku poczyna rozmowę z werwą prowadzić, co zdaje się, że należy do szczególnych przymiotów każdego paryzkiego odźwiernego. Dla zabicia więc czasu, opowiada rozmaite ucieszne historyjki o swych lokatorach; a ponieważ widzi, że ci oboje państwo tem opowiadaniem się nie nudzą, przechodzi na politykę i zaczyna opowiadać różne powiastki, o królu i całem tuileryjskiem towarzystwie, jakie wówczas pomiędzy publicznością kursowały. Nieznajomy głośnym śmiechem wywzajemnia się za to opowiadanie wesołe i ucieszne, choć opowieści bardzo złośliwe słyszał o dworze królewskim.

Deszcz jednak nie przestaje padać, niebo na około jednakowo zachmurzone pozwala wnioskować, że jeszcze z kilka godzin może być niepogodnie. Dama zaczyna się niecierpliwić oczekując dość długo. Spostrzega to odźwierny i powiada: Nie mogę państwu w żaden inny sposób pomódz, ale gdybyście państwo chcieli, to ja mam tutaj parasol. Nie jest on wprawdzie ani piękny, ani nowy, ale za to przyda się dobrze, bo jest obszerny.

I to mówiąc, bierze z kąta ogromny płócienny parasol, który na pustyni Arabskiéj mógłby za namiot posłużyć i to nawet ozdobny, bo lubo z natury był koloru jasno niebieskiego, to różnokolorowe łaty jak poprzyczepiane kwiaty na nim wyglądały.

— Wyborny! rzeczywiście, zawołał nieznajomy, ten parasol.

— Przedewszystkiem zasłoni państwa od deszczu co jest rzeczą ważną, powiedział odźwierny. Wprawdzie widząc was pod nim idących, nie jeden rzuci jakiś dowcipek, ale co to wam szkodzi, kiedyście zasłonieni od deszczu. Służy wam zresztą prawo naśmiania się do woli, jeżeli rzucone słówko będzie prawdziwie z dowcipem wypowiedziane.

— Co to nam szkodzić będzie, choćby ktoś i żartował sobie. Ale przyjacielu, czy ty się tylko nieobawiasz zawierzyć tego parosola?

— Ani trochy. Z miny widać, żeś pan uczciwy człowiek. Przepraszam tylko, że tak lichy parasol ofiaruję panu, ale co mam tem służę.

Pożegnano się więc i oboje państwo odeszli.

W godzinę potem przybywa wygalonowany lokaj i oddaje parasol antyk zdziwionemu szewcowi i przytem wręcza mu cztery tysiące franków, mówiąc: książe de Berry (brat królewski), dziękuje wam serdecznie za grzeczność i te pieniądze wam panie odźwierny w podarunku przysyła.

Następnie lokaj ten idzie na pola Elizejskie, szuka kobiety wynajmującéj krzesła, a znalazłszy ją po-

wiada: Wiecie zapewne co ta rękawiczka znaczy. Oto jest ośm sous, które mi kazał książe de Berry wam doręczyć, aby odebrać zastawioną parasolkę księżnéj.
Zygmunt Gawarecki.

O podlewaniu kwiatów ciepłą wodą.

Człowiek lubi pić zimną i świeżą wodę, rośliny zaś mają zupełnie gust przeciwny. Wielu z amatorów roślin, wyobraża sobie bardzo nie właściwie, że potrzeba podlewać rośliny wodą świeżą, pod pozorem niby jakiegoś ich odświeżenia. Doświadczenia jednak przekonały, że takie podlewania są szkodliwe, zwłaszcza dla roślin delikatniejszych, i że wszelkie rośliny doniczkowe, zyskują bardzo wiele na tem, skoro są podlewane wodą letnią, byleby znowu nie gorącą. Polewanie takie jest koniecznem, szczególniéj dla roślin, które kwitną podczas miesięcy zimowych, i okoliczność ta często spostrzegana, że kwiatowe pączki u roślin w doniczkach, same dobrowolnie przed rozkwitnięciem opadają, pochodzi ztąd: żeśmy je zimną wodą podlewali, co nigdy nie ma miejsca, skoro używać będziemy letniéj wody, gdyż wtenczas pączki nieopadają, ale się pięknie rozwiną. Niektórym nawet roślinom, takie podlewanie zimną wodą, jest bardzo szkodliwe. Kamelja np. podlewana zimną wodą, najczęściéj traci swe pączki kwiatowe, a już w najlepszym razie rozwija je bardzo późno, kiedy jeżeli ją będziemy podlewać letnią wodą, to pączki nie opadają i rozwijają się wcześniéj. Ogrodnicy paryzcy, aby mieć wczas kwitnące kamelje, np. w grudniu i styczniu, gdyż wtedy drogo się sprzedają, trzymają je w miejscu jasnem i ciepłem, i dwa razy na dzień podlewają wodą letnią, ciepłą.



Przedewszystkiem zasłoni państwa od deszczu, — (str. 363, szp. 2).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Sosiński).

Farbowanie przedmiotów cynkowych na czarno.

Ażeby z cynku ulane przedmiota zafarbować na czarno, rozpuszcza się 6 łutów chlorku antymonu w jednéj kwarcie spirytusu winnego, do czego domięszywa się jeszcze 4 łuty kwasu solnego i tą mieszaniną pociąga się przedmiot jak najśpieszniej z pomocą pędzla, poczem cynk w jednéj chwili zczernieje. Że jednak po pierwszém przeciągnięciu, nigdy się przedmiot równo i jednostajnie nie zafarbuje, natychmiast więc po za farbowaniu, obmywa się go szmatką i potém znów drugi raz przeciąga się mięszaniną. Po powtórnem zafarbowaniu, jak najśpieszniéj stawia się przedmiot w suchém i ciepłém miejscu, a skoro już przeschnie, pociera go się 2 do 3 razy olejem, przez co przybiera stale czarną barwę i piękny połysk. Przeciąganie antymonem w każdym razie, musi jednak być jak najcieńsze, gdyż tylko w tedy barwa jest piękną i dłuższą trwałość zapewnia

ROZMAITOŚCI.

— W pewnem małem niemieckiem miasteczku, wybuchł podczas ciężkiéj zimy ogień. Zatoczono sikawkę, lecz pokazało się niestety! że sikawka zamarzła, i ani myśleć, o użyciu jéj.

Ależ w téj chwili, gorliwy przełożony miasta, wpada na prawdziwie genjalny pomysł, i anibyście zgadli moi państwo, co robi?

Oto woła na gwałt, aby zwożono garnki, i przy palącym się domu, grzano wodę, która posłuży, do roztopienia zamrożonéj sikawki.

Nie jest że to, nader postępowe zdarzenie, na wiek XIX?

A przecież, jest to fakt, który stał się rzeczywiście.

— Żółwie, jaszczurki, węże i wogólności zwierzęta niższego rozwoju, poznają obecność żywéj istoty tylko po jéj poruszeniach. Żółw' wyszedłszy z wody tak wejdzie na spokojnie podstawioną rękę jak i na sąsiedni kamień. Okularnik, jeden z najzjadliwszych węży, przepełznął przez nogi po całem ciele pewnego oficera angielskiego, który widząc niebezpieczeństwo śmierci, ani się ruszył i przez to tylko wszelkiego szwanku uniknął.

Myśli i Zdania.

— Kiedy zły człowiek śpi, strzeżmy się go przebudzić.

— Jeżeli kupujemy niepotrzebne rzeczy, to wkrótce będziemy zmuszeni sprzedać nawet najpotrzebniejsze.

— Dzieci i głupcy wyobrażają sobie że 20 lat nigdy się nie skończą, a 20 złotych nigdy się nie wyczerpią.

— Na żonę potrzeba wybierać taką kobietę, którą wzięlibyśmy sobie za przyjaciela, gdyby ona mężczyzną była.

— W złoczyńcy nienawidź czarta, a miłuj człowieka.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*. Adam Mieczyński.